

ZA MAŁO ŻEBY ŻYĆ, ZA DUŻO ŻEBY UMRZEĆ

BAJONÓWKA c.d.

Wyszliśmy z tymi workami na podwórko, a wtedy Ukraińcy zebrani przed domem jak dzicy runęli do środka, drzwiami i oknami – przez roztrzaskane szyby – ze wszystkich stron. Zdzierali firany z okien, kilimy ze ścian, wynosili garnki, nawet wazon z kwiatami, wrywali sobie wszystko z rąk i szarpali się między sobą, jak opętani. Te dziewczęta, które należały do Koła Gospodyń Wiejskich, były najbardziej pazerne, a my musieliśmy na to wszystko patrzeć. Chłopi wyciągnęli trzydziestolitrową butlę wina i pili czym kto mógł, nawet nocnikami i spluwaczką. Poupijali się prawie do nieprzytomności i zaczęli strzelać w powietrze. Nas ogarnął strach, bo słyszało się różne opowieści o okrucieństwie Ukraińców. W tym pijanym, strasznym tłumie mąż zobaczył sołtysa z sąsiedniej wioski i poprosił go, żeby odwiózł nas do Równego (dzieci małe, deszcz pada, 15 kilometrów drogi). Owszem, „pożyczyl” nam nasz własny wóz i konie, ale ani mąki, ani nic z żywności zabrać nie pozwolił. Wzięliśmy więc tylko trochę ubrań i pościeli pod ich baczynym okiem – i wsiedliśmy na wóz. Było już po godzinie 13.

Wszystkie kury za nami wybiegły, bo to akurat pora karmienia, ale mąż odgonił je i zamknął bramę, żeby jastrzębie ich nie połapały, Mój Boże...

Gdy ujechaliśmy z pół kilometra, Zosia zapytała, kiedy tu wrócimy. Powiedziałam, że nigdy i rozpłakałam się. A ona dalej pyta, kto da krowom jeść, i koniom, i świniom. Wtedy wszystkie dzieci w głos się rozszlochały i tylko deszcz padał coraz większy, i sływał po twarzach razem ze łzami.

Na miejsce dojechaliśmy późną nocą i nie wiedzieliśmy, co z sobą począć. Mieliśmy znajomego sklepikarza o nazwisku Górecki, do którego woziliśmy dwa razy w tygodniu masło, sery, jaja. Zajechaliśmy więc do niego. Przestraszony był okropnie i wzbraniał się przed przyjęciem nas tłumacząc, że bez zameldowania nie wolno nikogo przyjmować (miał nowy, wielki dom, wybudowany po powrocie z Kanady). Ubłagałam go, żeby pozwolił nam przesiedzieć w kuchni do rana, na workach. Nawet dzieciom nie dali gorącej herbaty, bo wiedzieli, że już z nas nie będą mieć żadnej korzyści. Miejsce dawnej „serdecznej znajomości” zajęła teraz obcość i zniecierpliwienie. Tak spędziliśmy

pierwszą noc po wypędzeniu nas z domu.

Następnego dnia rano mąż poszedł wraz z tym sklepikarzem szukać jakiegoś schronienia. Znaleźli niewielką izdebkę - pokoiik z małą kuchnią w suterynie, własność 80-letniej staruszki. Przyjęła nas do pokoiku. Stało tam jedno żelazne łóżko i szafa. Mąż poszedł nas zameldować, a potem kupił kilka wiązek słomy, rozesał ją po podłodze, powyciągaliśmy pościel z worków i w ten sposób przygotowaliśmy spanie dla całej naszej rodziny. Później poszedł z chłopcami kupić coś do jedzenia, bo ostatni posiłek zjedliśmy w domu w osadzie, dzień przed wypędzeniem nas. Ja nie mogłam ruszyć się z miejsca, bo wcześniej, jeszcze przy kopaniu ziemniaków, pękł mi żyłak w prawej nodze. Nie poszłam od razu do lekarza i rana teraz zaczęła gnąć i boleć niemiłosiernie. Franuś wziął swoje oficerki i w młynie wymienił je na pięć pudów pszennej mąki. Dzieci kupiły mleko i chleb, i zrobiliśmy pierwsze śniadanie. Nie było żadnego garnuszka ani łyżek, niczego. Jedzenie nie chciało przejść przez gardło. Tam został cały majątek: sześć dojnych krów, dwie cielne jałówki, byk, dwadzieścia tuczników, około dwieście kur, całe obsiane pola i zbelowany tytoń, dorodny sad, a tu za litrem mleka godzinami trzeba stać w kolejce i skąd brać pieniądze?

Po kilku dniach coraz więcej osadników zaczęło przybywać do Równego, ale ci już wiedząc na naszym przykładzie, co się dzieje i co ich czeka, wcześniej wywozili ziemniaki, mąkę, zabijali świnie, niektórzy zabierali nawet meble i wynajdowali sobie mieszkania. Na nas spadło to nieszczęście niespodziewanie, a poza tym mieliśmy bogate gospodarstwo, więc na początek uderzono w nas, żeby się łatwiej wzbogacić.

O tym, co nas spotkało, dowiedziała się moja siostra – Rzewuska (od niedawna mieszkała w tej samej osadzie, co my) – i wyżebrała od nowej gospodyni na naszym gospodarstwie worek żytniej mąki, parę garnków i obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

Z osad wypędzono wszystkich mieszkańców. Przybywało w tym czasie również dużo uciekinierów zza Buga. Opowiadali, że Niemcy wcale ludzi nie zabijają i nie palą wsi. Osadnicy zaczęli się naradzać, czy nie uciekać do swoich – na tamtą stronę. Najpierw uciekać mieli mężczyźni ze starszymi dziećmi, tam je zostawić i wracać po resztę rodziny. Ja prosiłam, żebyśmy się nie rozdzielali, bo cóż my, biedne kobiety, same tu zrobimy. Rosjanie mogą nas wymordować. Ale mężczyźni byli tacy pewni swego planu i przemądrzali – mój szwagier też do nich należał – iż twierdzili, że Rosjanie mają co innego na głowie i

nie będą czepiali się kobiet. Zresztą Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę, to za kilka tygodni ich pobiją. Sowietci się wycofają, a my szybko wrócimy na nasze gospodarstwo, żeby Ukraińcy nie rozdrapali go do reszty. Gdy nie dawałam wiary tym przepowiedniom, wtedy mówili, żebym nie patrzyła na świat przez czarne okulary. Po tych wszystkich targach stało się tak, jak chciała większość.

Rano, w dniu 6 stycznia 1940 roku, zaczęli się zbierać i poszli grupkami do pociągu w Równem – razem 52 osoby. Poszedł również mój mąż z najstarszym, 17-letnim synem Sylwusiem. Szliśmy bocznymi ulicami w kierunku bursy osadniczej, w budowę której wnieśliśmy też spory wkład. Chcieli na nią popatrzeć ostatni raz. Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa. Miałam ściśnięte gardło, nie mogłam w ogóle przemówić. W pewnej chwili Franuś zatrzymał się i powiedział: „Wróc się matuś”. Ale poszłam aż na stację. Tam też nikt słowem się nie odezwał, pożegnaliśmy się jak głuchoniemi.

Pociąg ruszył i gdy już dość szybko jechał, ujrzałam w oknie Henryka, który skradał się za nami całą drogę i teraz z ojcem wyruszył po przygodę - tak jak stał. Mój 11-letni syn sam zdecydował o swoim losie.

Wracałam zupełnie nieprzytomna. Pod domem spotkałam siostrę,

która także odprowadzała męża, tylko inną drogą. Ta, gdy mnie zobaczyła, rzekła tylko te słowa: „Julia, ty nie płaczesz? Takiego małego chłopaka wysłałaś!” Już w sieni słyhać było głośny płacz pozostałych dzieci i tej staruszki, naszej gospodyni. Dopiero wtedy otrząsnęłam się z odrętwienia i rozszlochałam w głos. Zdawałam sobie sprawę, że odszedł ten dobry, zany człowiek, że brak nam będzie jego pracowitych i opiekuńczych rąk. I co dalej? Jak sobie poradzić? Około trzeciej w nocy przybiegła sąsiadka – której mąż też poszedł – z wiadomością, że wszystkich z tego pociągu wysadzili i aresztowali. Zaraz się ubrałam i pobiegłam na dworzec, odległy o około 3 kilometry. Służbę na nim pełnili jeszcze Polacy. Zapytałam ich, czy był odprawiony ten pociąg na Łuck, którym wszyscy pojechali. Odpowiedzieli, że tak i że to nieprawda o tym aresztowaniu. Nie bardzo wierzyłam w to, co mówili na stacji, gdzieś w mózgu czał się strach. Rano poszłam pod więzienie pełna obaw, że czegoś się dowiem. Patrzyłam w okna, które od przyjscia Sowietów były pozabijane deskami. Pod więzieniem nie można było dłużej się zatrzymywać, bo strażnicy na murach zaraz zaczynali w człowieka celować z karabinu i trzeba było szybko się oddalić. Chodziłam tam teraz co dzień i wystawałam z myślą, co też zobaczę.

Pewnego razu ktoś wjeżdżał autem na plac więzienny. Otworzyli żelazną bramę i widziałam stojący na środku dziedzińca wielki, żelazny wóz, a na nim palił się węgiel. Widok był okropny, był to jeden wielki, żarzący się płomień. Dochodził stamtąd też niesamowity śwąd. Szerzyła się pogłoska, że tam palili ludzi. Wielu wtedy ginęło bez śladu. Wystawałam pod tym więzieniem i wyobrażałam sobie najgorszy los mego męża i synów.

Któregoś dnia Ircia i Czesia poszły do kolejki, a tu dowiedzieliśmy się, że w nocy unieważniono polskie pieniądze. Wzięłam piękny, wyszywany obrus i wyszłam na ulicę. Zaczepiłam jakąś Rosjankę, co przechodziła z oficerem i kupiła ten obrus za 50 rubli. Było chociaż na chleb i mleko na najbliższe dni. W tym czasie Rosjanie wykupywali albo zabierali wszystko. W nocy opieczętowywali sklepy, a rano podjeżdżały ciężarowe samochody i ładowali na nie wszystko, co tylko było – zabierali łańcuchy, łopaty, najmniejsze nawet drobiazgi, a kobiety ruskie paradowały po ulicach w nocnych koszulach, bo wyglądały na balowe suknie. Okropne to były widoki, dużo mówiące o kulturze narodu.

Do nas co dzień przychodziło NKWD i za każdym razem odczytywali listę wszystkich zamieszkujących. Gdy padały nazwiska tych,

którzy pojechali, trzeba było kłamać, że poszli stać w kolejkach.

Po jakimś czasie udało mi się nawiązać kontakt z przewodnikiem, który podobno przeprowadził mężczyzn przez granicę. Miał ich odprowadzić aż do Bugu. Była wtedy akurat zmiana warty. Ludzie ukryli się po krzakach, była jakaś strzelanina, ale część z nich przeszła po lodzie. Nic więcej nie wiedział. Umówiłam się, że nas też przeprowadzi, ustaliliśmy już datę: 28 stycznia 1940 roku. Miał za to otrzymać resztę mąki, która nam została; pieniędzy już nie miałam. W tym momencie przyszła moja siostra. Zachorowała jej 2-letnia córeczka na zapalenie płuc. Siostra zaczęła płakać, że ją zostawiam, że ja z chorą nogą, że takie mrozy i śniegi (jeszcze dzieci gdzieś zamarzną); może się ociepli, to lepiej odłożyć na później całą tę sprawę. Miała dużo racji i dałam się przekonać.

W tym czasie jakaś rozgłośnia radiowa nadawała audycje, które miały pochodzić niby to z Francji. W jednej z takich audycji oficer, który ponoć był przedtem w Równem, mówił, żeby nigdzie się lepiej stamtąd nie ruszać, że wiedzą o nas wszystko i wkrótce przybędą z całą armią, wtedy będziemy im potrzebni. Podawali nawet nazwiska i adresy osób tu zamieszkujących. Ludzie wierzyli i czekali, a to był podstęp. Ale jak można było nie wierzyć,

gdy, przemawiał najczystszą polszczyzną jakiś przekupiony zdrajca.

Nadszedł dzień 10 lutego 1940 roku. Późnym wieczorem przyszła siostra obudzić dzieci, by poszły razem z nią w kolejkę po cukier. Sklepy otwierane były o ósmej rano, ale wcześniej jakiś Żyd każdemu na dłoni pisał chemicznym ołówkiem numer, żeby był porządek. Rosyjski porządek. Nocami mrozy dochodziły do minus 25-30⁰C, ale ludzie stali po kilkanaście godzin, żeby kupić pół kilograma cukru. Było około godziny 3 w nocy. Ktoś z całej siły zaczął tłuc w drzwi. Babcia – nasza gospodyni – poszła otworzyć. Do mieszkania wpadło czterech rosyjskich żołnierzy z bagnetami na karabinach i jeden cywil - Żyd. Wyciągnęli listę i zapytali, czy tu mieszka Kłusek. Mieszka. Wyczytali wszystkich, pytają gdzie mąż. Powiedziałam, że najstarszy syn jest w szkole we Lwowie i mąż z najmłodszym pojechał do niego. A dwoje dzieci stoi w kolejce po cukier. Postawili na środku izdebki taboret i posadzili mnie na nim. Żołnierze przystawili do ciała ostrza bagnetów, a Żyd mówił, żebym oddała broń, bo przeprowadzą rewizję, a jak znajdą, to będzie bardzo źle. Odpowiedziałam, że broni nie mam, że jak nas Ukraińcy z domu wyrzucali, to stali i patrzyli, co do worków ładujemy – nie dali wziąć nawet budzika. A broń, jak Sowietci wkroczyli, to za-

raz zabrali. Żyd na to: „A jak znajdziemy?” Powiedziałam, że ten dom nie jest mój i nie odpowiadam za to, co tutaj znajdują. Żyd wyrzucił wszystko z łóżka i znalazł torebkę, a w niej 240 złotych w bilonie. Schował wszystko do kieszeni i powiedział: „bilonu nie było, bo osadnicy gromadzili”. Ja mu na to: „czy przyszedł kraść pieniądze?” Nic więcej nie mogłam powiedzieć, bo z czterech stron poczułam dotyk bagnetów na ciele. Gdy skończył rewizję, kazał mi ciepło się ubrać. Powiedziałam, że w domu nie ma dwojga dzieci, a bez nich nigdzie się nie ruszę. Żyd poszedł do kolejki, w której stali Ircia i Czesio, wywołał ich po nazwisku i przyprowadził do domu. Zapytałam, za co mnie aresztują. Wtedy żołnierz wyjaśnił, że przeprowadzają mnie do drugiego domu, bo ten jest im potrzebny, żeby tylko ciepło się ubrać, a w dzień przyjdę i zabiorę swoje rzeczy. Na koniec jednak kazali natychmiast zabierać rzeczy i wychodzić, bo tu już nie wrócimy. Na ulicy stał duży, ciężarowy wóz. Powrzucałi wszystko i nam kazali wsiadać, ale poszliśmy pieszo. Powiedli nas do bursy osadniczej. Tam żołnierze złapali worki i wnieśli, a inni z wycelowanymi w nas karabinami obskoczyli nas ze wszystkich stron i poprowadzili do środka, popędzając ordynarnymi przekleństwami. Rozejrzałam się, czy pod którąś ze ścian nie będą nas

rozstrzeliwali, ale nigdzie nie było śladów krwi. Krzesła i ławki były przewracane. Byliśmy pierwsi. Usiedliśmy na workach i czekamy, co będzie dalej. Niedługo przywieźli majorową Mioduńską z Hallerowa, a po niej innych. Jej mąż też poszedł z dwojgiem dzieci za Bug. Zapytałam ją, co to znaczy? Otóż powiadomiła mnie, że wyczytali jej „wyrok”, że skazują ją na zsyłkę do Rosji. Kazali zabrać jak najwięcej żywności i ciepłej odzieży.

A więc do Rosji...

A my nie mamy nic, ani skóreczki chleba. Gdy załadowywali nasze rzeczy do ciężarówki, żołnierze nie dali wziąć ani jednego worka mąki. Zobaczyłam znajomą, która przyszła popatrzeć, co się dzieje. Miała kilogram chleba – poprosiłam o ten chleb. Później dowiedziałam się, że siostra wracając z cukrem wstąpiła do nas, a my już od dawna siedzieliśmy przemarznięci do szpiku kości na odkrytych ciężarówkach.

Powieźli nas do Zdołbunowa, bo tam były szerokie tory, innych transportowali do Aleksandrii. Do wagonów ładowali po 80 osób razem z tobołkami. Były tam umocowane dolne i górne pryce. Poupychaliśmy się jakoś i zaraz wszystkich obsiadły wszy: wagonami tymi bowiem przewożono niedawno wojsko. Wszy łąziły po deskach, ale zanim je wypatrzyliśmy, już nas straszliwie gryzły. W kącie wagonu

stały dwa żelazne piecyki, ale nie było węgla. Kiedy załadowali ludzi, żołnierze zaryglowali drzwi z zewnątrz i więcej nikt się o nas nie kłopotał. Dzieci płakały, wszyscy dygotali z zimna, myśleliśmy, że chcą, abyśmy zamarli. Na środku wagonu mieścił się „ustęp”, czyli wycięta w podłodze dziura o średnicy może 10 cm. A tu dzieci, młodzież, mężczyźni - no, jakże się załatwić?! Ktoś dał dwa koce i jakoś miejsce to osłonięto. Na stacji w Zdołbunowie staliśmy całą noc i cały następny dzień. Wciąż dowożono i doładowywano nowych nieszczęśników, starców, kaleki - nawet ślepców, każdego kto tylko był Polakiem.

Pociąg ruszył. Uświadomiliśmy sobie, że to, co wydawało się niemożliwym zagrożeniem, już się dokonało.

Ludzie zaśpiewali *Serdeczna Matko*. Ten śpiew, to był jeden wielki szloch, jedno wołanie o ratunek...

Niektórzy spoglądali przez szpary w ścianach na nasze polskie ziemie, które teraz przyszło nam w okolicznościach tak dramatycznych opuścić. Na granicy pociąg się zatrzymał. Ktoś powiedział, że z pewnością teraz wszystko nam zabiorą, a dadzą kufajki: ktoś inny, że nas zagłodzą i zamrożą w wagonach, i dlatego nie dają węgla. Ludzie byli przerażeni. Pociąg znów ruszył. Na granicy odśpiewaliśmy

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród.
W tym śpiewaniu – w zestawieniu
ze świadomością że z ziemi tej nas

brutalnie wrywają – było coś nie-
samowitego.